

**Dokąd tą drogą?
Piotr Nowina-Konopka
w rozmowie z Andrzejem
Brzezieckim**

Przejdź do produktu na ksiegarnia.beck.pl

1

Hulajnogą do wolności

Mieszkając przez ponad dziesięć lat we Włoszech, nie tylko nauczył się pan mówić po włosku, ale nawet dorobił się skutera...

Skuter bardzo ułatwia życie. W lecie bywa przyjemniejszy niż samochód, bo wszędzie można na nim dotrzeć i wszędzie go zostawić. Daje poczucie niezależności i wolności. W Polsce może taki starszy pan jak ja na skuterku budziłby zdziwienie, ale we Włoszech nikt nie podnosi brwi na mój widok. Widać, że facet sobie jeszcze jakoś radzi... Nie mogę już jeździć konno, więc to także trochę *ersatz* jazdy konnej – patrzę sobie na świat może nie z wysokości siodła, ale siodełka.

To nie pierwszy jednoślad w pana życiu, prawda?

Pierwsza była drewniana hulajnoga z drewnianymi kołami. Żaden luksus, a zarazem coś cudownego. Gdy miałem pięć, może sześć lat, pozwolano mi wychodzić z domu samemu i jeździć po ulicy Generała Zajęczka w Katowicach, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Ten pojazd dawał mi poczucie wolności – pewnie zrazu nie wyprawilem się dalej niż pięćdziesiąt metrów od domu, ale zawsze miałem wybór, czy jechać w lewo, czy w prawo, w górę, czy w dół ulicy. Świat stał przede mną otworem. Do dziś pamiętam wręcz fizyczne upojenie się wolnością. Życie pokazało mi później, jak dalekie mogą być podróże, ale to właśnie te wyprawy na hulajnodze były moją pierwszą ucieczką do wolności.

Gdy zaś miałem jakieś dziesięć lat, zapracowałem sobie, roznosząc mleko, na rower. Windy były rzadkością, więc musiałem pokonywać piętra na piechotę...

Rower to był Eska Tourist. Wcześniej jeździłem na damce Mamy. Damka była dość wygodna, miała „balonowe” opony i kontrę w pedale, ale budziła rozbawienie moich rówieśników. Eska Tourist z „baranami” i ręcznymi hamulcami, choć jeszcze bez przerzutek, był moim pierwszym „męskim” pojazdem.

W Katowicach pana rodzina znalazła się tuż po wojnie. Wcześniej Koponkowie zamieszkiwali podkrakowskie wsie, gdzie mieli spore majątki. Nad kominkiem nawet tu, we włoskiej Amelii, wisi herb Nowina. Czy ziemiańska tradycja rodziny jest dla pana ważna?

Ważna, ale trudno mi powiedzieć, żeby była ona dla mnie pierwszoplanowa. Żyjemy już w tak innych czasach, że to, co się działo w epoce naszych pradziadków, przestało mieć znaczenie dla zewnętrznego świata. Rodzice przekazali mi poczucie zobowiązania, jakie wiąże się z urodzeniem w lepszych warunkach, choć wtedy gdy ja przyszedłem na świat, akurat lepsze warunki były już tylko wspomnieniem.

Rodzice powtarzali mi, że nie było moją zasługą, iż urodziłem się w rodzinie z tradycjami, natomiast powinienem potrafić sprostać tym tradycjom w sytuacjach, w których znajdę się kiedyś. Chodziło o to, by pamiętać, że nie wypadło się sroce spod ogona, choć oczywiście także w rodzinach ziemiańskich różnie się wypadało i nie zawsze ładnie.

W każdym razie w domu panowało przekonanie, że od siebie trzeba wymagać więcej. Nie powiem – jako dzieci, ja i moje rodzeństwo, odbieraliśmy to jako niesprawiedliwość, ale ostatecznie się przyzwyczailiśmy. Taka postawa miała swój koszt, ale też wzmacniała determinację. Moja Matka za punkt honoru wzięła sobie, że wszystkie jej dzieci muszą skończyć studia. A przecież po śmierci Ojca nie było to proste, jako że była nas szóstka, licząc z Dominikiem – synem Ojca z pierwszego małżeństwa.

Pana rodzice poznali się już po wojnie, ale czy – każde osobno – wracali do przedwojennych wspomnień?

Te wspomnienia zostały mocno zakłócone przez okrucieństwo wojny, a potem przez komunistyczne więzienie mojego Ojca. Rodzice zresztą nie zachowali wielu świadectw materialnych z przedwojennego życia. Pozostawały więc faktycznie wspomnienia i wzorce postaw.

Świadectwem przeszłości Konopków są położone nieopodal Krakowa dwory w Modlnicy, Tomaszowicach, Mogilanach i Głogoczowie. Szczęśliwie wszystkie w dobrym stanie.

To prawda – mieliśmy szczęście, że substancja się ostała. Trzeba przyznać, że Uniwersytet Jagielloński, który przejął dwór w Modlnicy, porządnie go wyremontował. Położone na południe od Krakowa Mogilany, równie piękne, zwłaszcza że oferują wspaniały widok na góry, były w gestii AGH. Tomaszowice wykupił prywatny przedsiębiorca, skądinąd Kurd, i tylko Głogoczów pozostał w rękach Konopków, bo był za mały, by objęła go reforma rolna.

Jeśli mówimy o szerszej rodzinie, to owszem – wszystko to kiedyś należało do Konopków. W XIX wieku Mogilany i Modlnica połączyły się, gdy moja praprababka i prapradziadek, czyli Stefania i Józef, którzy byli stryjecznym rodzeństwem, pobrali się – za zgodą Watykanu! – wnosząc do małżeństwa oba te majątki. Ale mieli też dziewiętnaścioro dzieci! Wobec takiej liczby Konopków, ukuło się nawet powiedzenie: co kopka to Konopka. Kilkaset hektarów to nadal nie była więc wielka własność, z której dałoby się wtedy utrzymać tak dużą rodzinę. Moi dziadkowie, Adam Konopka i Malwina z domu Czermińska, mieli jednak już tylko majątek w Modlnicy. Odziedziczył go najstarszy brat Ojca, Adam, któremu gospodarowanie niezbyt wychodziło. Był *bon vivantem*. Jego zamiłowanie do polowań nieomal doprowadziło Modlnicę do ruiny.

Potem, po II wojnie światowej, stryj Adam wylądował w armii generała Andersa. W Wielkiej Brytanii umiał zadawać szyku, choć był odrobinę

bufonem, o czym najlepiej świadczy to, że używał bezprawnie tytułu barona (takie tytuły przyznawał cesarz austriacki dla pozyskania sympatii swych nieaustriackich poddanych). Ale chyba umiał obracać się w wielkim świecie, bo na przykład pisywał teksty do „Esquire”, w szczególności przepisy kulinarne – umiał gotować, lubił zjeść i wypić, później przechodziłem u niego stosowne szkolenie... Odnosił sukces w świecie anglosaskim, zakładał parki narodowe w Kenii i otrzymał od królowej brytyjskiej nieruchomość na Eton Row, niedaleko Eton Square.

Konopkowie nie tylko gospodarzyli, ale zajmowali także urzędy w Krakowie.

Owszem, bywali w czasach Rzeczypospolitej Krakowskiej sędziami i wojskowymi. Jeden z Konopków jeszcze w czasach napoleońskich wybrał się nawet do Włoch, tam szukał go jego brat, by mu przekazać, iż ma objąć majątek w Mogilanach. Czytałem jego diariusz z podróży i byłem pod wrażeniem. Niby zwykły absolwent prawa na UJ, ale zarazem poliglota i znawca sztuki. To istny bedeker! Opisy Florencji, Wenecji czy Rzymu są niesamowite, co mogłem docenić, mieszkając we Włoszech ponad dekadę.

Galicja w XIX wieku, zwłaszcza w drugiej połowie stulecia, była chyba dość dobrym miejscem do życia dla ziemian.

Zwłaszcza jeśli w dużej rodzinie byli ludzie mający talenty techniczne albo artystyczne. Mój prapradziadek Józef Konopka był ważnym działaczem galicyjskim. Organizował wystawę rolniczą we Lwowie, pokazywał tam swoje konstrukcje: kombajny i inne maszyny rolnicze. Jego syn Tadeusz Konopka miał zaś w sobie żywy gen artystyczny, malarski, literacki oraz wyczulone na muzykę ucho. Julian malował. Siostra Justyna była kimś rodzaju asystentki Oskara Kolberga i zbierała dla niego świadectwa, które potem znalazły się w jego wydawnictwach. Kolberg mieszkał najpierw w Mogilanach, a potem dwanaście lat w Modlnicy.

W końcu mu jednak gościnę wymówiono. Dlaczego?

Bo nie bardzo było wiadomo, w jakim charakterze on tam przebywa. Babcia Justyna była panienką i sytuacja wyglądała niezręcznie. Później Kolberg miał żal, kierowało nim poczucie misji i uważał, że należy mu się wsparcie. Pomoc Kolbergowi przyczyniła się jednak do tego, że relacje między dworem a wsią były poprawne. Mój stryjeczny dziadek zakładał w Głogoczowie straż pożarną, Tadeusz budował szkołę w Modlnicy. Powstał też przytułek oraz ochronka dla dzieci, w której były pod opieką, gdy chłopcy byli w pracy. Potem doszły świetlica i szkoła, chłopom zapewniano także klasyczną pomoc felczerską. Dzieje naszej rodziny to nie historia rodem ze wschodniej Galicji, gdzie dominowały wielkie majątki. U nas się nie przelewało, a pańszczyzna, zanim ją zniesiono, była stosowana redukcyjnie. To nie było ciemienie.

W dobie historii ludowej szuka się raczej ciemnych stron relacji dwór-chłopi.

Wie pan, ale ja się jakoś nie zetknąłem z resentymentami antykonopkowskimi. Jeździmy do Modlnicy od lat, bo tam jest nasz cmentarz rodzinny, gdzie wciąż chowamy naszych bliskich.

Mieszka tam już trzecie pokolenie ludzi, które nie widziało starych Konopków na oczy, ale gdy stykam się z mieszkańcami Modlnicy, te spotkania są bardzo miłe.

Wszystkie te majątki zostały znacjonalizowane, z wyjątkiem wspomnianego już leżącego na trasie do Zakopanego Głogoczowa, który ze względu na nieduży rozmiar nie podpadł pod reformę rolną.

Dziadek stryjeczny Stanisław, który w czasie wojny znalazł się w Londynie, wrócił w 1948 roku i wraz z żoną Anusią zaczął w tym malutkim już wtedy mająteczku hodować róże. Jego kwiaty zyskały wielką sławę, ale po nocach złodzieje mu je kradli. Biedak postawił sobie

budkę, by pilnować tych róż i któregoś ranka znaleziono go tam martwego...

Z dworu w Modlnicy zostały wam jakieś pamiątki?

Nie bardzo. Dwór został po wojnie rozszabrowany, więc nic nie dało się wziąć. Jedyny mebel, jaki ocalał, to taki sekretarzyk, który stał kiedyś u nas na Zajączka i który wygrywał walce oraz „Jeszcze Polska nie zginęła”. Babunia albo rodzice sprzedali go po wojnie na Wawel, bo nie było z czego żyć. Po latach byłem bardzo zdziwiony, gdy ujrzałem go w Modlnicy, odwiedzając dwór. Stał, zupełnym przypadkiem, dokładnie w tym samym miejscu, co przed wojną. Nowi gospodarze nie wiedzieli, że on pochodzi właśnie z tego dworu. Otwarłem skrytkę i pokazałem im mechanizm, który wygrywał melodie.

Zostały nam jeszcze jakieś sztychy. Gdy zaś kilka lat temu robiłem porządku w bibliotece, znalazłem książkę wydaną w 1902 roku z exlibrisem modlnickim. To był zbiór poezji Kornela Ujejskiego. Tomik podpisany był przez najstarszą siostrę mojego Taty, Marylę Bisping. Dostała to cymelium moja stryjeczna bratanica i zarazem córka chrzestna Julia, która została wicedyrektorem Biblioteki Narodowej i ma słuch na takie znaleziska.

Rodziny ziemiańskie po wojnie miały ciężko, ale posiadały tak zwany kapitał społeczny.

On pozwalał nam funkcjonować. Niemal automatycznie dawał nam status inteligencji. Nie było to mile widziane oficjalnie, ale dla nas było ważne. Pamiętam te wszystkie ciotki bezetki, czyli były ziemianki, dawne damy, które mimo wszystkich strat nie zagubiły poczucia własnej godności. To robiło wrażenie. Już jako dorosły człowiek przywiozłem moich francuskich przyjaciół do ciotki Anusi w Głogoczowie. Ona oczywiście mówiła po francusku, więc przegadała z nimi kilka godzin. Byli zachwyceni, bo ciotka używała słów, które w XX wieku już przestały funkcyjono-

wać, na przykład „causer”, co odpowiadało wyrażeniu „gawędzić”. Ręce miała zniszczone od pracy fizycznej, ale zachowała klasę.

Gdy Ojciec siedział w więzieniu, bieda była potworna. Babunia, czyli jego matka, która mieszkała z nami, wyrabiała w tajemnicy cukierki i sprzedawała je na dworcu kolejowym w Katowicach. Szukała nabywców po przedziałach stojących pociągów. Kiedyś nakrył ją na tym mój Ojciec i to go doprowadziło do rozpacz. Ale to nie odbierało babci godności, choć była wtedy po siedemdziesiątce. W czasie uwięzienia mojego Ojca prowadziła naszą domową kuchnię, obierała jarzyny, zmywała *etc.* To nie było proste, bo nie było właściwie nic do jedzenia. Robiła nam zapiekanki. Wystawna kolacja polegała na tym, że zapiekała ryż z jajkiem i ze szczypiorkiem albo zielonym groszkiem i podawała na wielkich muszlach. Miała mało elegancki (ale francuski!) zwyczaj maczania rogalika w kawie, co nas wtedy fascynowało, a ona mówiła: „Popatrzcie, jak to robią niewychowani Francuzi”. Umarła w 1955 roku.

W swych wspomnieniach opublikowanych w 1959 roku w „Znaku” Jacek Woźniakowski, jeden z ojców założycieli środowiska „Znaku” i pierwszy niekomunistyczny prezydent Krakowa, pisał, że podczas wojny obronnej w 1939 roku walczył u boku pana ojca. „Mikołaj Konopka ranny w plecy. Serce ściska mi się, kiedy odsłaniam ostrożnie płaszcz i widzę zakrwawione, podziurawione plecy”. Jacek Woźniakowski wniósł z pola walki rannego do chałupy, opatrzył go i dał wodę. Wspominał też, że pana ojciec zachował się nadzwyczajnie – gdy ujrzał bardziej rannych, zwolnił im miejsce, choć mdlał już z bólu, i prosił przyjaciela, by pożegnał od niego matkę i żonę.

Ojciec poznał Jacka Woźniakowskiego w 8. pułku ułanów stacjonującym w Krakowie. Flagowa „żurawiejka” brzmiała: „Ósmy zdobi nam salony, same grafy i barony. Na ramionach mitrę nosi, w boju dzielnie szablą kosi, krzywa buzia, krzywa nóża, to ułani Księcia Józia”. We wrześniu 1939 roku to Woźniakowski zachował się nadzwyczajnie, bo dosłownie uratował mojemu Ojcu życie. Tato wydobrzył w końcu i zaangażował się

w działalność Armii Krajowej. Przeszedł przez więzienie na Montelupich. Jego pierwszą żoną była Kalina Łoś, z którą miał syna Dominika urodzonego w 1941 roku. Kalina zmarła kilka lat później.

Po wojnie pana ojciec chciał przez zieloną granicę wydostać się z Polski, zamiast tego trafił do Katowic. Co go powstrzymało przed wyjazdem?

Trzech braci Ojca znalazło się w Anglii, więc pewnie chciał do nich dołączyć. W Polsce robiło się dlań niebezpiecznie. Decyzję podjął w 1947 roku. Przerzucać go miała pewna dziewczyna, która w czasie wojny zajmowała się między innymi transportem partyzantów na terenie Gorców. Skombinowała ciężarówkę i na pace tej ciężarówki mój Ojciec ją poznał. A jak już poznał, to w Katowicach wysiadł, zrezygnował z emigracji i oświadczył się. Ja na świat przyszedłem dwa lata później, w maju 1949 roku.

Pana mama, Anna Kozubowska, pochodziła z Katowic?

Tam żyli jej rodzice przed wojną. Mój dziadek, Jan Kozubowski, pochodził z Małopolski. Był chirurgiem wojskowym. Przed I wojną światową jego ojciec, profesor medycyny na UJ, wysłał go do słynnego gimnazjum Theresianum w Wiedniu. Dziadek przerwał jednak tam naukę z powodu wojny i dokończył już w Polsce. Zaczął praktykować w Krakowie przy ulicy Kopernika, ale wojsko wysłało go na Śląsk.

Po latach, już jako rektor Natolina, odwiedziłem ów gmach Theresianum, gdzie mieściła się austriacka akademia dyplomatyczna. W gablocie zobaczyłem mundurek, jaki widziałem na zdjęciach dziadka z młodości, i zagadnąłem rektora. Rektor akademii zrobił mi niespodziankę i ulokował mnie w pokoju, w którym mieszkał Ritter von Kozubowski, czyli właśnie mój dziadek.

Babcia Wanda zaś pochodziła z Kongresówki, z rodziny XVII-wiecznych niemieckich kolonistów o nazwisku Metze, którzy wcześniej pisali się Maetze. To była rodzina protestancka, ale mój pradziadek August Maetze, gdy ożenił się z Władysławą Karwowską, katoliczką, zawarł z nią

taki układ, że chłopców będzie się chować po protestancku, a dziewczynki po katolicku. Stąd moja babcia została katoliczką. Miała za sobą uniwersyteckie studia pielęgniarstwa, co było wówczas rzadkim osiągnięciem. W Katowicach mieszkali w sporym mieszkaniu przy ulicy Warszawskiej. Dobrze im się wiodło. Po latach babcia opowiadała z rozkoszą, że w kasynie wojskowym ani dziadek, ani ona nie wylewali za kołnierz. Kiedyś były między oficerami dość głupie zawody, kto kogo przepije, w których brał udział doktor, nie wiem, czy kapitan, czy już major, Kozubowski. Ale gdy wezwano go do chorego, zastąpiła go babcia i jak twierdziła potem – nawet z pewną dumą – przepiła wszystkich oficerów.

Wojna zastała ich w Katowicach?

We wrześniu 1939 roku dziadek trafił z wojskiem do Sandomierza, gdzie w lutym 1940 roku zmarł. Moja Mama nawet na piechotę doszła do Sandomierza i przeszła zamarzniętą Wisłę, ale dziadek już wtedy nie żył. Babcia została więc w Katowicach sama z moją Matką i jej starszym bratem Tadeuszem. Dzieci wysłała do Krakowa, a sama spędziła resztę wojny w Katowicach ze służącą, panną Anną Fuchs. Niemcy wyrzucili je z mieszkania i całą wojnę spędziły w jednym pokoju, śpiąc w jednym łóżku. Babcia nie podpisała volkslisty, choć z jej panięńskim nazwiskiem Niemcy przyjęliby ją z otwartymi ramionami. Takich rodzin, które się na to nie zdecydowały, było w Katowicach mniej niż sto. Zresztą panna Fuchs też nie podpisała – z dumą mówiła Niemcom, że ona jest z tych polskich Fuchsów. Pochodziła z Podkarpacia, ze wsi Handzlówka.

Co pana mama robiła w Krakowie?

Na kompletach zrobiła maturę, a na co dzień pracowała u jakiegoś Treuhändera, czyli niemieckiego zarządcy. W czasie wojny z okazji zdania matury babcia zafundowała jej nawet podróż do Wiednia. Gdy tam dotarła, poszła do kawiarni Sachera na torcik. Kelner zapytał, czy ma kartkę z przydziałem. Nie miała, ale torcik dostała, na co jakiś niemie-

cki żołnierz zareagował oburzony, bo jak to – on wraca z frontu i musi mieć kartę. To był moment, w którym Niemcom wiodło się coraz gorzej. A Mama dostała i zjadła ciastko!

Mimo wszystko pana matka musiała czuć się bardzo pewnie. W końcu znalazła się niemal w jaskini lwa.

Pojechała na własnych papierach, które miała dobre. Była zatrudniona w niemieckiej firmie i dobrze mówiła po niemiecku.

Jednocześnie angażowała się w działalność podziemną.

Była łączniczką z lasem, miała stopień porucznika. To właśnie zaangażowanie sprawiło, że po wojnie zajmowała się przerzucaniem ludzi przez zieloną granicę i tak w 1947 roku poznała Ojca. A w maju, dokładnie 27 maja 1949 roku, ja pojawiłem się na świecie.

Szczęście nie trwało długo. Ojca aresztowano miesiąc po pana narodzinach.

Dostał dożywocie, które potem mu skrócono, a ostatecznie wyszedł na przełomie 1952 i 1953 roku. Wrócił schorowany, bo pracował jako górnik-więzień w kopalni Knurów. Z pobytem Ojca za kratami wiąże się moje pierwsze wspomnienie. To mógł być rok 1951, może początek 1952, gdy Mama zawiozła mnie na Gęsiówkę, czyli do aresztu w Warszawie, gdzie był Ojciec. Być może go tam przewieźli na przesłuchania – bo jeśli była apelacja, to musiał być dostarczany na rozprawy. Pamiętam bramę z małym okienkiem i z wizjerem. Potem ta brama się otwarła i przez podwórze weszliśmy do baraku, przy wejściu do którego stali strażnicy z bagnietami. W środku był długi stół, na całą długość tego baraku, a za stołem siedzieli więźniowie w czapkach. Tam był też mój Ojciec. Koło niego siedział facet w kucharskiej czapce, ale do dziś nie wiem, dlaczego ją miał. Nie mogłem Ojca ani ucałować, ani się do niego przytulić. Rodzice

rozmawiali, a ja się bawiłem monetą na stole, która w pewnym momencie sturlała mi się na podłogę po stronie Ojca. Chciałem wejść pod stół i ją znaleźć, ale Ojciec mnie powstrzymał, mówiąc, że potem podniesie.

Czy matka szukała dojsć, aby wyciągnąć go na wolność?

Dotarła do adwokata Zygmunta Hofmokla-Ostrowskiego, który Ojca dzielnie wybronił z dożywocia. To była ważna postać w palestrze.

W domu rozmawiało się o wojennych przeżyciach i przygodach?

To nie był temat rozmów. Dzieci nie muszą wiedzieć zbyt dużo, bo będą opowiadać w szkole. Wtedy wszędzie donoszono. W wielu rodzinach odzyskano odwagę rozmawiania o przeszłości dopiero, gdy się politycznie uspokoiło.

Wiedziałem jako dziecko, że Ojciec był w AK, no bo za to siedział. Mama zaczęła mówić o sobie dopiero w roku 1980, gdy wybuchła „Solidarność”. Wiedzieliśmy zawsze, że była dzielna, że znała dobrze niemiecki, kiedyś też mimochodem wspomniała, że poznała dobrze Gorce, bo tam jeździła podczas wojny... Gdy byliśmy mali, miała na głowie dom i szóstkę dzieci, zwłaszcza gdy zabrakło Ojca, nie miała głowy do wspomnień ani czasu na opowieści. I dopiero w 1980 roku dowiedzieliśmy się szczegółowo, co nasza Mama, porucznik AK, robiła w czasie wojny.

W powstaniu warszawskim zginął brat pana ojca – Piotr. W domu się o tym mówiło?

Wiedzieliśmy tylko, że zginął pierwszego dnia walk. Służył w zgrupowaniu „Jeleń”, które walczyło w alei Szucha. Szczegóły poznałem znacznie później, gdy pracowałem już na Uniwersytecie Gdańskim i byłem pod Warszawą na konferencji na temat ubezpieczeń morskich. Podszedł do mnie pan mecenas Jerzy Figarski i pyta, czy Piotr Nowina-Konopka był moim stryjem. Potwierdziłem, a on: „Panie Piotrze, muszę to panu

powiedzieć – służyłem z pana stryjem w tym samym plutonie i razem atakowaliśmy policję na Szucha. Skakaliśmy od bramy do bramy, w pewnym momencie nie zorientowałem się, że Piotr jeszcze jest w jednej z bram i rzuciłem tam granat...”. Ten człowiek prawie czterdzieści lat nosił w sobie tę opowieść i dopiero wtedy ją z siebie wyrzucił.

Pamięta pan dzień, kiedy ojciec wrócił z więzienia na Boże Narodzenie 1952 roku – zapewne po amnestii z 22 listopada?

Przyjechał po prostu do domu, czym chyba nas wszystkich zaskoczył.

Jak zapamiętał pan ojca?

Gdy wrócił, był schorowany. Był fizycznie złamany. Trzeba go było kurować. Spędziłem z nim w sumie dziesięć lat, zanim zginął w katastrofie kolejowej. Gdybym był starszy, miałbym okazję, aby z nim poważnie porozmawiać.

Był człowiekiem czytany, znał języki, lubił fotografię i miał sprawne ręce. W moich oczach był uosobieniem mężczyzny, który potrafi wszystko zrobić. Miał talent do zajmowania się chłopcami. W dodatku miał zawsze czas i cierpliwość.

Urodzony w 1911 roku we Lwowie, miał pięciu braci i cztery siostry. Majątek modlnicki był niewielki, ale po podchorążówce kawaleryjskiej w Grudziądzu Ojciec skończył studia w Krakowie i w latach 30., szukając zajęcia, trafił m.in. do Wolnego Miasta Gdańska i Gdyni. Tam próbował szczęścia jako agent maklerski lub spedycyjny, z czego nic nie wynikało, poza złapaniem bakcyła morskiego. Okazał się ten bakcył być dziedziczny...

Po odwilży w 1956 roku znalazł pracę jako przedstawiciel przemysłu stoczniowego na Śląsk. Chodziło o to, aby nawiązywać współpracę śląskich hut ze stoczniami na Wybrzeżu. Często jeździł nad morze, więc dużo czasu był poza domem. Gdy wracał, najgrzeczniejsze dziecko dostawało zrobiony przez niego z kory jakiś stateczek. Podpatrywałem, jak on robi te statki i dziś sam mam takie hobby. Wyjazdy Ojca nad morze,

jego opowieści o Gdańsku, o marynarzach sprawiły, że dla mnie woda była czymś fascynującym.

Gdzie mieszkaliście w Katowicach?

Wynajmowaliśmy piętro i strych w domu z ogrodem przy ulicy Generała Zajączka. Na dole mieszkali państwo Wretowscy i aby dostać się do nas, trzeba było przejść przez ich hol. Zajmowaliśmy trzy pokoje na piętrze i facjatki na strychu. Mebli żadnych szczególnych nie mieliśmy. Był tylko duży stół jadalny, który Ojciec wygrał w brydża od proboszcza katowickiego kościoła garnizonowego. Dostaliśmy też krzesła, bo proboszcz po wstawieniu ławek do kościoła już ich nie potrzebował.

W 1960 roku właściciele willi chcieli ją odzyskać i musieliśmy ją opuścić. Zresztą robiło się już nam tam ciasno. Dostaliśmy kwaterek mieszkanie przy ulicy Rymera. Było wygodne, duże, z wysokimi sufitami, bo w kamienicy z lat 30. XX wieku. Niestety było na parterze i było dość ciemne. Plusem było to, że miałem własny pokój.

Nie chodził pan do przedszkola?

Opiekowała się mną niania Aja, którą uwielbiałem. Była wspaniałą opiekunką wykształconą w tym kierunku. Wiąże się z nią ciekawa historia. Gdy trafiłem do Watykanu jako ambasador, zacząłem urzędowanie od przeglądu archiwum placówki. Znalazłem tam zdjęcie z 1939 roku zrobione na Okęciu w momencie, gdy mój wspaniały poprzednik Kazimierz Papée wraz żoną Leonią udawał się w podróż samolotem do Włoch, by zostać ambasadorem w Watykanie. Na tym zdjęciu był także major Henryk Dobrzański.

Słynny „Hubal”, ostatni polski „zagończyk”?

Dokładnie. Dobrze znałem jego córkę Krysię Dobrzańską, która przyjaźniła się z naszą Ają. Dominik, syn mego Ojca z pierwszego małżeństwa,

[Przejdź do księgarni →](#)

ksiegarnia.beck.pl